

Haitańska WOŚP

13 stycznia 2020

„No, Polacy... walczyliście o naszą i waszą niewolę, ha-ha-ha” – śmiech haitańskiego pisarza Dany’ego Laferrière’a przypominał mi się dziwacznie, gdy dzisiaj wyszliśmy z Psiną zaczerpnąć świeżego smogu i natknęliśmy się na grupkę młodych ludzi z WOŚP-u. Jakiś pan tato robił zdjęcie swemu dziecku wciskającemu dziesięciozłotowy banknot do skarbonki, mama wciskała głowę w kadr.

OK, prawdę mówiąc, skojarzenie z Danym, którego miałem okazję poznać osobiście, nie było pierwsze. Najpierw stanęły mi przed oczami te niezliczone selfie dumnych Amerykanek lądujących na chwilę na haitańskiej plaży, białą łodzią z wielkiego wycieczkowca, by czekać na czarne dzieciaki i kobiety, którym zabrakło wody. Przybiegały niezawodnie. Działo się to po wydarzeniu sprzed 10 lat – 12 stycznia 2010 r. wyspą wstrząsnęła ziemia i wiatr znowu dał biednym po oczach, wszystko było w proszku, studnie zasypane jak ludzie.

Obsługa wystawiała więc zgrzewki butelek na piach tak, by wszyscy turyści, którzy płynęli na Karaiby, mogli sobie zrobić zdjęcie. Za najlepsze uchodziły te, kiedy przymuszony dzieciak pił z butelki trzymanej w dłoni uśmiechniętego dobroczyńcy. Jak nie chciał, to machało się przed nim srebrzystą monetą, nawet banknotem. Facebook i inne tego typu portale przeżywały eksplozję niezrównanego sukcesu. Biura turystyczne przez cały miesiąc oferowały wakacjuszą specjalne przystanki na Haiti za niewielką dopłatą, serce rosło.

„Murzyn należy do królestwa roślin” albo „Gdy planeta wyleci w powietrze, eksplozja zaskoczy nas w trakcie metafizycznej dyskusji o źródłach pożądania” – tytuły rozdziałów z „Jak bez wysiłku kochać się z Murzynem?” – książki Dany’ego, która wyszła u nas jeszcze przed tamtym trzęsieniem, były przedmiotem naszej rozmowy, gdy zwieszeni nad barem

podśmiewaliśmy się z tego lub tamtego. Nie, czarny haitański pisarz nie miał do Polaków żadnych historycznych pretensji, „sami byliście wtedy Murzynami, ha-ha-ha” mówił, gdy wspominaliśmy jak nasi, na rozkaz ówczesnego imperium, krwawo tłumili powstanie haitańskich niewolników.

12 stycznia 2010 r. w ciągu kilku minut zginęło ok. 200 tys. ludzi, 300 tys. innych odniosło rany, półtora miliona domów rozpadło się jak domki z kart. Ofiar było stosunkowo mało (sic), gdyż wiele tych domów było zbudowanych z blachy i kartonów, ale ludzie i tak umierali później z braku pomocy lekarskiej, pragnienia lub głodu. Pewnie mało kto pamięta dziś ową planetarną mobilizację, to „ratowanie Haiti”, te miliardy obiecywane na wyścigi. A przecież serce rosło.

„To dziesięciolecie stracone, zupełnie stracone. Nawet stolica nie została odbudowana. Ale złe zarządzanie nie zależało wyłącznie od władz lokalnych: na szczeblu międzynarodowym nie wprowadzono żadnego mechanizmu zarządzania pomocą, by kraj mógł z niej skorzystać” – mówił niedawno haitański ekonomista Kesner Pharel. Inaczej mówiąc, międzynarodowe serce rosło kosztem mózgu. Nieskoordynowane, charytatywne odruchy zastąpiły wszelkie możliwe rozwiązania systemowe, bo każdy chciał być „dobry”.

Obiecane miliardy nie nadeszły lub zniknęły po drodze w tajemniczych okolicznościach. Niektóre wielkie koncerny „robiły sobie selfie” reklamując się pomocą dla Haiti dla podniesienia sprzedaży. Różne telewizje podnosiły szlachetność swych widzów, zbierając radośnie pieniądze, z których średnio pięć procent trafiało na wyspę. Tak, było też trochę autentycznej, doraźnej pomocy, ale szybko się ona skończyła. „Nikt nie rodzi się Murzynem, lecz nim się staje” – mówi sentencjonalny tytuł ostatniego rozdziału z książki Dany’ego, jakby ta prawda była uniwersalna. I jest to rozdział optymistyczny, niczym spektakl WOŚP, dla pokrzepienia serc.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu